

PROFESOR JERZY KOZEŃSKI WSPOMINA...

PZ: Panie Profesorze proszę opowiedzieć jak to się stało, że rozpoczął Pan studia na Uniwersytecie Poznańskim.

Chciałbym zacząć od tego jak się w ogóle znalazłem w Poznaniu. Bo się nigdy historią nie interesowałem, a „wylądowałem” w Poznaniu na historii. Zdawałem egzamin na historię sztuki, bo tylko sztuka mnie interesowała, ale w tym czasie zlikwidowano katedrę historii sztuki we Wrocławiu i papiery przeszły do Poznania. I tutaj zdawałem egzamin. Rysunek udał mi się, a sądzę po tym, że osoby siedzące obok mnie mówiły o moich szkicach: „niech pan mi podsunie”, czyli szkice musiały się udać skoro siedzący obok kandydaci chcieli z nich skorzystać. No i zdałem egzamin. Zainteresowania odziedziczyłem po ojcu, był nauczycielem, ciągle grał na skrzypcach i malował. Nieraz duże, ładne obrazy olejne. To po nim odziedziczyłem fascynację sztuką i dlatego poszedłem na historię sztuki. Obawiam się, że gdybym zdawał na historię, to mógłbym nie zdać, bo się nigdy historią nie interesowałem. Nie miałem na to w ogóle czasu. Na historię sztuki mnie jednak nie przyjęto z braku miejsc, ale przesunięto mnie na historię.

Buntowałem się, że jestem na historii. Chodziłem na wykłady z historii sztuki, ale tam była sama archeologia, czego nie cierpię. Natomiast na historii już w pierwszym semestrze zaproponowano referat ze sztuki greckiej, zgłosiłem się, ucieszyłem się, byłem w swoim żywiole. Na drugim semestrze podobna sytuacja, referat o sztuce w Rzymie. Zgłosiłem teatr rzymski. Potem trzeci semestr, temat miasta hanzeatyckie. Wybierałem. Miałem 24 lata, to wszystko obok mnie było smarkate... Potem Witek Swoboda powiedział mi: „ty studiowałaś, a myśmy się dalej uczyli”. Tak to wyglądało. No i udały mi się te studia. Potem gdy trzeba było napisać pracę magisterską na maszynie, nie miałem naturalnie pieniędzy na maszynistkę. Na szczęście pamiętałem, że na wsi w Krzymowie, gdzie się urodziłem i gdzie stał nasz dom, i gdzie nadal mieszkał mój wuj, że tam Niemcy zostawili maszynę do pisania. Pojechałem na tydzień do Krzymowa. Pamiętam stoję tam przy płocie, jedzie furmanka i słyszę, „kto to? kto to” i odpowiedź: „a to jest syn Heli Zawilszczanki, tej co to wyszła za nauczyciela, tego galicjoka”. To było bardzo miłe.

W Dzierżoniewie znaleźliśmy się po wojnie. Zgryzotą rodziców przed wojną było wykształcenie i przygotowanie czterech synów do zawodu. Brak ziemi,

pensyjka nauczyciela... A tu pojawiły się szanse na Ziemiach Odzyskanych. Nasza przedwojenna gospodyni jechała do Dzierżoniowa, do syna, i zabrała mamę, która się zakrzętnęła, dostała mieszkanie, ściągnęła nas wszystkich, i wtedy zaczęła się prawdziwa stabilizacja. Pracowałem od 14. roku życia, po wojnie osiem godzin pracy w fabryce, potem biegłem na obiad do domu, na zakupę, którą mama zrobiła, i następnie na szesnastą do szkoły, a potem jeszcze odrabianie lekcji i do tego lektura. Można się zastanowić, jak w ogóle dałem sobie w życiu radę.

Muszę tu jeszcze o czymś wspomnieć. W czasie wojny od 14. roku życia dojeżdżałem rowerem do pracy w Brzeźnie, do sklepiku Kōrbitzów, do dziś stoi ten dom, gdzie mieścił się ten sklepik. Dwa i pół roku rower ten był wstawiany na podwórzu i nikt go nie ukrał. Po wkroczeniu Armii Czerwonej pojechałem zobaczyć co się dzieje z sąsiadami, dosłownie dziesięć minut i roweru nie ma. A na wsi bez roweru, na wsi położonej 15 km na wschód od Konina i 15 km na zachód od Koła... Jak myśmy przeżyli rok 1945, to sobie nie wyobrażam.

W 1946 r. zdarzyło się, że przyjechał do nas jakiś znajomy, mama poprosiła, żeby mi znalazł jakąś pracę. Znalazł w Stargardzie, coś w sekretariacie. Pojechałem i tam mnie spotkało po przyjeździe autentyczne upokorzenie, które mnie nigdy nie spotkało od Niemców, a tu spotkało mnie od Polaków. Nie będę mówił o szczegółach, bo to mnie irytuje do dzisiaj. Miałem być niby pracownikiem biurowym, a tu coś zupełnie innego mi zaoferowano. Ale nie miałem dokąd wracać, tak więc upokorzony musiałem tam zostać. Na szczęście w tym czasie mama przeniosła się do Dzierżoniowa, ściągnęła całą rodzinę. Miałem dzięki temu kontakt z Wrocławiem, ze Świdnicą. Żyłem wtedy teatrem. Stąd mój pierwszy artykuł w „Przeglądzie Zachodnim” był poświęcony teatrowi w Świdnicy. Kompletowałem wszystkie recenzje, mam do dzisiaj pełną ich kopertę. Artykuł miał zresztą duży oddźwięk. Rozesłałem go aktorom, dyrektor napisał do mnie list z wyrazami podziękowania. Aktorzy mieli trochę pretensji, że o niektórych raz tylko wspomniałem i przypominali, że grali również w innych sztukach. W każdym razie proszono mnie, żebym odbitkę przesłał kolejnym osobom. Miałem wtedy dużą satysfakcję, z tym że teraz w bibliografii staram się tego nie umieszczać.

PZ: Pana pierwsze zatrudnienie po studiach?

Miałem szczęście, bo dyrektor Biblioteki Kōrnickiej zwrócił się do państwa Dworzaczków z zapytaniem, czy mają jakiegoś kandydata do pracy w bibliotece. Wiele zawdzięczam państwu Dworzaczkom, dzięki nim zostałem w Poznaniu. Prof. Włodzimierz Dworzaczek zwrócił uwagę na mnie, zarekomendował mnie, i zacząłem pracę w Kōrniku. To było uciążliwe, bo trzeba było pociągami dojeżdżać, w dodatku biblioteka jest położona dość daleko od dworca. Trzeba było wyjeżdżać o 6 rano, a dla mnie to wczesne wstawanie, już od czasu wojny, to była katastrofa. Musiałem w czasie wojny bardzo wczesnie wstawać, żeby dojechać rowerem do pracy w Brzeźnie, położonym dziewięć kilometrów od Krzymowa.

PZ: W jakich okolicznościach podjął Pan Profesor pracę w IZ?

Bardzo wiele zawdzięczam, właściwie wszystko prof. Gerardowi Labudzie, do którego uczęszczałem na seminarium. Zdarzało się, że mówił do mnie: „jest pan na tropie, ale pan upraszcza”. Odpowiadałem: „chyba jeszcze mi wolno”. Na to profesor: „słusznie, no to diskutujmy”. I tak się zaczęło. Kiedyś spotkał mnie, powiedział, że ma zostać dyrektorem Instytutu Zachodniego i zapytał: „czy Pana by tam praca interesowała?”. Odpowiedziałem, że oczywiście i że może się sprawdzić. Usłyszałem, że mam się przedstawić dyrektorowi Michałowi Pollakowi i że reszta będzie załatwiona. Poszedłem więc przedstawić się w Instytucie Zachodnim, pamiętam że pani Halina Całkowa powiedziała do mnie: „pan jest protegowanym prof. Labudy, pan tu szybko zrobi karierę”. No wyróżyła... [śmiech]

PZ: Dlaczego wówczas zainteresował się Pan Profesor Czechosłowacją?

Po spotkaniu polsko-czeskim w Instytucie Zachodnim prof. Labuda powiedział do mnie: „wszyscy tutaj zajmują się Niemcami, niech pan się zajmie Czechosłowacją, jak oni dają sobie radę z Niemcami”. Byłem w powijakach i wolałem zająć się stosunkami polsko-czechosłowackimi. Miałem pisać doktorat u prof. Janusza Pajewskiego. Prof. Pajewski proponował mi najpierw biografię polityka niemieckiego, potem za sugestią prof. Labudy dał mi nowy temat, czyli właśnie Czechosłowację. Pięknie. Miałem szczęście, że wtedy dostałem się na letnią szkołę w Pradze. Trwała miesiąc, z tym, że w programie była dodatkowa możliwość pozwalająca na studiowanie materiałów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Od razu to wykorzystałem i ostatni tydzień spędziłem w archiwum. Umożliwiło mi to napisanie zupełnie nowej pracy, bo nikt przede mną tych materiałów w Pradze nie badał. A mnie musieli je udostępnić, bo ściągnęli ludzi z całej Europy i byłoby niezręcznie odmówić mi dostępu do archiwum. Powstała praca była jeszcze dlatego oryginalna, że uzyskałem również dostęp do odpowiednich materiałów w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych przechowywanych w tzw. specjalnej szafie. Spotkałem mianowicie w Wilanowie szefa pracowni archiwalnej, dobrze nam się rozmawiało i następnego dnia otworzył zamkniętą szafę dwojga pracowników, Karola Laptera i Stefanii Stanisławskiej. Teraz pisze Jerzy Tomaszewski z ubolewaniem, że może kiedyś odnajdą się te materiały, z których mogłem skorzystać dzięki sympatii i życzliwości. Zniknęły. Nie wiadomo, gdzie się znajdują.

W każdym razie praca została przyjęta do druku w Instytucie Zachodnim, wbrew zresztą opiniom niektórych moich ówczesnych kolegów. Jeden z nich powiedział do mnie: „musisz tę pracę wycofać z druku, bo między nami musi być dystans, a ja jeszcze mam za mały dorobek, żeby wyrazić zgodę na druk tej książki”. Ale recenzję napisał prof. Henryk Batowski, stwierdzając, że praca będzie jedną z lepszych wydanych przez Instytut Zachodni. Jak brzmiało pytanie do Batowskiego, skoro napisał, że książki nie należy skreślać z planu wydawniczego? [śmiech]. Książka wzbudziła zainteresowanie. W „Przeglądzie Zachodnim” ukazała

się bardzo sympatyczna recenzja prof. Tadeusza Cieślaka. Byłem zaskoczony jak ładnie o mnie napisał. Inna rzecz, że moja pierwsza recenzja w „Przeglądzie Zachodnim” była z książki prof. Cieślaka, może się więc zrewanżował życzliwą recenzją z mojej książki. A tymczasem w Czechosłowacji Jaroslav Valenta, który zajmował się sprawami polskimi, po prostu napadł na mnie, to były obrzydliwości. Drukował nie tylko w Pradze, ale również w wrocławskiej „Sobótce”. Odpowiedziałem na to w druzgocących dwudziestu ośmiu punktach. Dyrekcja długo to rozważała, zostawiła mi czternaście punktów; tekst ukazał się w „Sobótce”; Valenta na to odpowiedział. Ale potem moje kontakty z Valentą były dobre, chciał się zrehabilitować, zapraszał do domu, na wspólną wycieczkę *etc.* Chciał nawet, żebym się za nim wstawił u Włodzimierza T. Kowalskiego, ale ten nie okazał zainteresowania... Miałem też sympatyczne kontakty z Vilem Preczanem, ale nie wiem, co to się stało, że on się nagle ode mnie odwrócił.

Do tematyki czechosłowackiej powróciłem w latach siedemdziesiątych. Napisałem wtedy książkę *Droga do Protektoratu Czech i Moraw*, czwartą książkę po habilitacji. Moim zdaniem byłaby to najlepsza z moich prac. Ale recenzent napisał, że jej opublikowanie przyniesie szkodę Instytutowi Zachodniemu. Kryły się za tym jakieś intrygi na tle osobistym. W rezultacie trzy rozdziały opublikowałem w Warszawie w „Studiach z historii Europy Środkowej”. Potem wyszła moja *Jesień czechosłowacka*, szkoda że nie włączyłem do niej tych trzech pierwszych rozdziałów, które opublikowane jako artykuły, wywołały spory oddźwięk. Napisałem „pod prąd” i można powiedzieć, że „uratowałem” prezydenta Józefa Tisę, kwestionując tezę, że Czesi poddali się Niemcom, ponieważ zdradziła ich Słowacja. Udowodniłem, że to nieprawda, że Tiso był co prawda wezwany do Berlina, ale nie powiedział, wymówił się brakiem kompetencji, twierdząc że musi się wypowiedzieć parlament. To się podobało Słowakom.

Nie potępiam jednak Emila Hachy. Edward Benesz walczył o przetrwanie państwa, Hacha o przetrwanie narodu, ciągle interweniował u Niemców w obronie Czechów. Czesi nie mieli wyboru, na wojnie przetrwaliby najwyżej tydzień. Niemcy i tak by wszystko zajęli. Czesi wyszli na tym dobrze, zresztą Niemcy również, wykorzystując przemysł czeski. Nie można jednak składać winy na Słowację. Historyk nie może być patriotą, to psuje obraz. Valenta, który napadł na mnie, bardzo jednak chwalił rozdział o Zaolziu. Samo rozwiązanie z polskiej strony było po prostu nieładne. Z drugiej strony w *Historii dyplomacji*, pisząc o stosunkach polsko-czechosłowackich w czasie wojny, na emigracji w Londynie, udowodniłem, że Benesz od pierwszej rozmowy z gen. Sikorskim do samego końca o wszystkim informował Moskwę.

Słowacy budzili we mnie sympatię, ponieważ walczyli o swoją niepodległość. Czesi nie bardzo chcieli dostrzec problemy mniejszości, ich aspiracje. Jak zresztą traktowali mniejszość polską na Zaolziu? Podobnie nie sędzę, żeby trzeba było wysiedlać wszystkich Niemców Sudeckich, nie wszyscy z nich byli hitlerowcami. W jednym z tekstów cytowałem prezydenta Vaclava Havla, który na początku lat

dziewięćdziesiątych przeciwstawił się ówczesnej fali antysudeckiej. Przypomina mi się zabawny dialog podczas pobytu u prof. Martina Broszata. Podchodzi do mnie pewien historyk i mówi: „Ach pan jest z Polski, a więc Pan jest komunistą”. Ja na to: „A pan jest Niemcem, to pan jest faszystą”. On zaskoczony: „Jak to? Dlaczego?”. Ja: „Skoro pan uważa mnie za komunistę, to ja mam obowiązek zrównania wszystkich Niemców z faszystami”.

PZ: Kiedy pojawiły się Pana zainteresowania Austrią?

Również za sugestią prof. Labudy zająłem się Austrią. Powiedział po reakcjach czeskich, po wystąpieniu Valenty, że skoro „tak pana przyjęli, to niech pan ich rzuci”. „niech pan idzie bardziej na południe”. No nie można jednak obciążać Czechów za wygłup Valenty... Ale tematyka austriacka bardzo mi odpowiadała. Jak już mówiłem, mój tata pochodził z Galicji, miało się jakieś sentymenty do Austrii. Do tematyki austriackiej podszedłem doprawdy z pasją. Napisałem najpierw monografię o sprawie *Anschlusu* tuż po I wojnie światowej, a potem zarys najnowszej historii Austrii. Wpadłem na to, że w 1918 i 1919 roku Austria stawiała Niemcom dość ostre warunki, m.in. domagała się, żeby jedna sesja parlamentu odbywała się w Berlinie, następna zaś w Wiedniu. Na to Berlin nie mógł przystać, ze względu na Bawarię, która też miała parlament i specjalny status. Udowodniłem, że mocarstwa zachodnie zakazując *Anschlusu* poszły obu stronom na rękę. Austria zbudowała państwo, zupełnie porządne państwo i ostała się w Europie. To, co napisałem podobało się Austriakom. Cytowano mój artykuł ogłoszony w „Polish Western Affairs”, podając moje tezy z adnotacją: „jak udowodnił to polski historyk Jerzy Kozeński”.

PZ: Na jakiej problematyce chciałby Pan Profesor skoncentrować swoje badania w najbliższej przyszłości?

Żadna praca, również fizyczna mnie nie męczyła. Nigdy nie męczyło mnie pisanie. Gdy wpadnę na pierwsze zdanie, to potem wszystko już dalej leci. W tej chwili mam już pierwsze zdania opracowania dwóch tematów, poświęconych sprawom ukraińskim. Już wiem jaką ścieżką pójść. Pierwsza to sprawy ukraińskie w „Kulturze”, „Zeszytach historycznych” i korespondencji Giedroycia, a potem większa rzecz o polskich ukraińcach. Byłoby to swego rodzaju zamknięcie moich zainteresowań: zajmowałem się Czechami, Słowakami, Chorwatami, wypada teraz zająć się Ukraińcami. Zwłaszcza, że napisano wiele bzdur na temat Ukrainy. Bieszczady i przesiedlenia były z inspiracji Moskwy, która nie chciała dopuścić do pojednania polsko-ukraińskiego. Urazy ukraińskie istnieją rzeczywiście i są w dużej mierze uzasadnione. Jest faktem, że po I wojnie Polska zniszczyła państwo ukraińskie. Ukraińcy walczyli z czerwonymi i białymi, walczyli na dwóch frontach, i w dodatku na zachodzie z Polakami o Lwów. Szymon Petlura liczył na to, że będzie miał wpływ na traktat pokojowy po wojnie z bolszewikami. Ale Piłsudski

zawarł traktat z bolszewikami bez Petlury, choć prawdą jest, że powiedział potem do starszyny ukraińskiej: „ja was Panowie bardzo przepraszam”. W dodatku oddziały ukraińskie walczące po stronie polskiej znalazły się po wojnie w obozach jenieckich.

U nas na wsi był jeden szewc, właśnie Ukrainiec z tej grupy, która walczyła po stronie polskiej z bolszewikami i potem została w Polsce. Mówiłem już, że mój ojciec pochodził ze wschodniej Galicji, znał ukraiński i mógł z tym panem rozmawiać po ukraińsku, ponieważ jego matka, czyli moja babcia, z domu Krzyżanowska była Ukrainką i nauczyła go języka ukraińskiego. Dziadek był w połowie Czechem. Takie to było pomieszanie.

Poważna literatura polska na temat spraw ukraińskich zaczęła się właściwie od 1981 r., przedtem to były paszkwile typu *Luny w Bieszczadach* Jana Gerharda. Ta obrzydliwa książka, pisana po to żeby przypodobać się Moskwie i żeby nie doszło do pojednania polsko-ukraińskiego miała w Polsce Ludowej aż 12 wydań. Potrzeba teraz czasu, żeby to zrekompensować. Ukraińcy wycofywali się na zachód przez Bieszczady, a Polacy zastawiali na nich pułapkę. Ci którzy doszli do Dunaju byli mordowani przez armię radziecką w trakcie przeprawy. Strzelano do nich jak do kaczek. Trzeba zwrócić uwagę na ukraińskie wysiłki zbudowania własnej państwowości i niestety na to, że Polacy nie wyobrażali sobie państwa polskiego bez Lwowa. Właściwie obraz Ukrainy zmienił dopiero Giedroyć. Chcę zacząć od pokazania zasług właśnie Giedroycia, który pozwolił nam dostrzec rzeczywiste problemy ukraińskie.

Rozmowę przeprowadzili: *Hanka Dmochowska i Zbigniew Mazur*